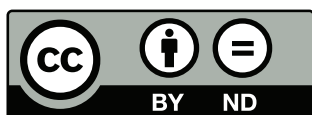


Stanisław Dąbrowa-Laskowski

Wbrew Sowietom obroniliśmy swoją polskość

Sopot 2008



Ten utwór objęty jest licencją Creative Commons Uznanie autorstwa-Bez utworów zależnych 2.5 Polska. Aby zobaczyć kopię niniejszej licencji przejdź na stronę: <http://creativecommons.org/licenses/by-nd/2.5/pl/>.

Pewne prawa zastrzeżone na rzecz autora publikacji.

Skład i opracowanie techniczne: *Aleksandra Kumaszk* eBooki.com.pl

Sybiracy.pl

2013-03-03

Dowodem na to, co było najważniejsze dla naszej rodziny, niech będzie fakt, że w feralnej nocy 13 kwietnia 1940 roku, całkowicie nieprzygotowani do wymuszonej podróży we wrogie sowieckie nieznane, mimo nerwowego pospiechu zabraliśmy ze sobą dyplom szlachecki herbu *Dąbrowa*, oraz wydaną we Lwowie w 1891 roku książkę Dr. Ludwika Finkela *O Konstytucji 3 Maja*, Adama Mickiewicza *Pana Tadeusza* i *Nad Niemnem* Elizy Orzeszkowej. I jeszcze jeden materialny wyraz polskości miał towarzyszyć nam. Był to niewielki obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej. Był on z nami aż do końca tułaczki, aby okropnie sfatygowany i mało już czytelny uroczyście zakończyć w płomieniach swoje istnienie w zrujnowanym przez Sowieców śląskim miasteczku Kietrz koło Raciborza.

Jako drogie dokumenty polskości, przedmioty te towarzyszyły nam nieodłącznie do Kazachstanu, a po latach - w wędrówce z powrotem do Polski przez Ukrainę (a ściślej – w ucieczce ze wschodniej Ukrainy) i rodzinne, tym razem zmaltretowane przez Niemców i Rosjan, Komarno. Gdy piszę te słowa, mam przed sobą tę liczącą 44 strony książkę w twardej ozdobnej okładce, mówiącej o utworzeniu Konstytucji Trzeciego Maja jako ważkiego fragmentu polskiej historii. Na jej pierwszej stronie, tuż za okładką, widnieje kulfonowaty napis odręczny: „*Własność Ryszarda Laskowskiego*”, który, pamiętam to do dziś, wykaligrafowałem niewprawną ręką dziesięcioletka w zapadłej kazachstańskiej wiośszynie stepowej *Jefremowka* (kilkadziesiąt kilometrów na południe od pasma gór Uralu) po to, aby wyrazić moją pamięć o Ojcu i przywiązanie do Niego. Jak dowiedzieliśmy się później - dogorywającego w sowieckim łagrze.

Sowiecka policja polityczna, złowrogie NKWD, była na tyle pewna swego i głupia na tyle, że nie zabroniła nam zabrać ze sobą szczególnie ważnych dla nas polskich książek. Właśnie bowiem ten dyplom i te trzy książki miały ułatwić przetrwanie deportacji, czyniąc nas odpornymi na nachalną sowietyzację.

Urodziłem się 28 sierpnia 1930 r. w Komarnie, polsko-żydowsko-ukraińskim miasteczku w ówczesnym województwie lwowskim. Matka, Kazimiera z Wawrowskich była nauczycielką z zawodu, ale w Komarnie poświęciła się bez reszty rodzinie. Ojciec, Ryszard Dąbrowa-Laskowski, syn styczniowego powstańca, oficer rezerwy, weteran I wojny światowej i walk o niepodległą Polskę, jako inżynier-mierniczy przysięgły na obszar powiatu Rudki miał w Komarnie niezbyt prosperującą kancelarię. Był gorliwym katolikiem i gorącym patriotą. W Komarnie przewodniczył *Akcji Katolickiej*. Przed wybuchem II wojny światowej mój starszy ode mnie o sześć lat brat Janek był uczniem jednego z lwowskich gimnazjów, a o sześć lat młodszy ode mnie Romek dopiero otwierał dzieciinne oczy na stający przed nim otworem świat przepełniony okrucieństwem, cierpieniem i grozą. Mieszkała też z nami matka Mamy, emerytowana nauczycielka Zofia z Różyckich Wawrowska. Babcia nasza była córką Eleonory Druckiej, a więc zgod-

nie z rodzinną tradycją wcale nie można wykluczyć, że przez swoje pokrewieństwo z rodem Druckich wywodziła się po dalekiej kądzieli ze zubożałych książąt ruskich – potomków półlegendarnego Ruryka, pierwszego władcy Rusi.

We wrześniu 1939 roku Komarno najpierw zajęli na dni kilka Niemcy, aby następnie opuścić je na rzecz wschodniego okupanta – Związku Sowieckiego. Sowieckie nowe porządki zaczęły się od zlikwidowania polskiej administracji oraz od oparcia „wyzwoleńczej” *władzy radzieckiej* na kolaborantach rekrutujących się z pośród biedoty - żydowskiej przede wszystkim, ale także i ukraińskiej. W ten oto sposób zaowocowało i zostało wykorzystane przez sowieckiego okupanta zatrute ziarno międzywojennej polityki polskich władz na Kresach, mniej lub bardziej dyskryminujących Rusinów, zaś Żydów darzących wręcz pogardą.

W konsekwencji rozpoczęto tępienie wszelkich przejawów polskości, na co Polacy zareagowali organizując antysowiecki ruch zbrojnego oporu.

Ojciec nasz był w Komarnie jednym z przywódców tego ruchu. „Twój tatuś jest żołnierzem” – powiedział mi tajemniczo pewnego listopadowego wieczora. Niestety, już w grudniu 1939 roku Ojciec i jego towarzysze aresztowani zostali przez NKWD, najprawdopodobniej wskutek zdrady, której źródłem było spenetrowane przez sowiecką tajną policję lwowskie dowództwo polskiego ruchu oporu. Major NKWD Małagutian we własnej osobie przyszedł nocą po Ojca. Pamiętam dokładnie tego osobnika. Lat około trzydziestu, krępy, wzrostu średniego, o szerokim gładko wygolonym podbródku. W pozbawionej uśmiechu jego twarzy tkwiły zimne oczy zawodowego mordercy. Jako szef NKWD w Komarnie, pewnego wieczora usiłował przy pomocy prymitywnych argumentów propagandowych przekonać polskiego patriotę i antykomunistę do rzekomej wyższości „ustroju sowieckiego” nad stosunkami panującymi w „krajach kapitalistycznych”. Rozmowa odbywała się w mojej obecności w kuchni, ponieważ „tego bolszewika” (a przypomnę, że wyraz „bolszewik” był – przynajmniej w naszej rodzinie – obelgą) nie dopuszczano do nadal, niestety do czasu, zajmowanej przez nas części rodzinnego domu. W pewnym momencie tej rozmowy, zniecierpliwiony Ojciec zasypał nieskutecznego agitatora złośliwymi pytaniami: Czy w ZSRR wolno założyć antykomunistyczną partię? Czy w ZSRR wolno krytykować partię komunistyczną? Czy w ZSRR wolno krytykować Stalina? Jedyłą odpowiedzią Małagutiana na te pytania było stanowcze „Nielzia!” (Nie wolno). Wobec tego Ojciec mój zakończył rozmowę szyderczym pytaniem: „W takim razie: >>Co lzia??<<?”.

Wkrótce potem nastąpiło aresztowanie Ojca, a było ono równoznaczne z wydaniem wyroku na całą naszą rodzinę, rodzinę rzekomego „wroga ludu”, a zatem składającą się z samych „wreditielej”, czyli szkodników na sowieckiej drodze uszczęśliwiania świata wbrew jego interesom i woli. Procedurą nocnego aresztowania i rewizji całego

domu kierował – A jakże! – tenże major Małagutian, przy okazji pakując do swojej kieszeni nasz zabytkowy złoty zegarek szwajcarski.

Mam kopię dokumentacji „wyroku kryminalnego”, ogłoszonego 17 grudnia 1940 roku przez sowiecki sąd w Drohobyczu. Ojciec skazany został na śmierć jako „kierownik antysowieckiej organizacji powstańczej”, który to wyrok decyzją sądu najwyższego ZSRR z 30 kwietnia 1941 r. został zamieniony na dziesięć lat pozbawienia wolności, czyli – na powolną śmierć w syberyjskim łagrze. Istotnie, Ojciec zmarł w łagrze 25 września 1941 roku. Jego grobu nie udało nam się odnaleźć do dziś. Natomiast z dokumentu prokuratury ZSRR datowanego 21 czerwca 1991 r. dowiedzieliśmy się, że Ojca całkowicie zrehabilitowano na podstawie dekretu prezydenta ZSRR z dnia 13 sierpnia 1991 roku...

...Przyszli po nas w nocy 13 kwietnia 1940 r. Przyprowadził ich Małagutian. Jako świadek (i chyba rzekomy gwarant sowieckiej legalności w enkawudowskim stylu) towarzyszył im wystraszony nasz sąsiad, polski rzemieślnik z Komarna, niejaki Michułka, który niezdarnie próbował wytłumaczyć się przed nami z narzuconej mu roli kolaboranta. Nota bene: po kilku następnych latach Janek spotkał go we Włoszech jako żołnierza III Dywizji Strzelców Karpackich, tej wykrwawionej bitwą o Monte Cassino.

Dano nam godzinę zaledwie na odzianie się i spakowanie w tobołki tyłu osobistych rzeczy ile zdołaliśmy udźwignąć. W tym czasie Małagutian przeprowadzał kolejną „rewizję”, w rzeczywistości poszukując dla siebie łupu w postaci rodzinnych kosztowności. Przed świtem, oszołomionych, drżących z trwogi i chłodu powleczono nas wiejską furmanką na pobliską stację kolejową Komarno-Buczały. Tak oto 13 kwietnia 1940 roku, ponury strumień ofiar z Komarna i okolicznych wsi, w lwiej części Polaków, ale także nielicznych Żydów i Ukraińców, wyruszył w kierunku dalekiego nieprzyjaznego Wschodu. Pozamykany do bydłowych wagonów, strumień ten wlewał się do rzeki gęstniejącej i coraz szerzej wzbierającej głuchą rozpaczą kobiet i dzieci. Zostaliśmy uznani przez wszechobecną i wszechwładną maszynę Narodowo Kommissariata Wnutriennych Dieł, w Komarnie aktywnie wspieranego przez niektórych przedstawicieli żydowskiej społeczności, za elementy zagrażające „*pierwszemu krajowi socjalizmu*”.

Tygodniami włókł się pociąg do sowieckiego „raju”. Stłoczeni w na dwu poziomach przycz w wagonach towarowych, okratowanych, z zamkniętymi drzwiami i dziurą w podłodze zamiast ustępu, ani razu nie otrzymaliśmy pożywienia. W czasie całej podróży zaledwie dwukrotnie pozwolono wyznaczonym osobom przynieść ze stacji osławiony *kipiatok*, czyli gorącą wodę, być może przegotowaną. Raz zmuszono nas do poddania się odwshzeniu (jak prezentują się sowieckie wszy i pluskwy oraz jakie są ich apetyty i możliwości mieliśmy dowiedzieć się wkrótce w sowieckim Kazachstanie), co polegało na poddaniu nas gołych kąpeli w obskurnej łaźni, podczas gdy naszą odzież potraktowano jakimiś gorącymi chemikaliami, po czym jej skórzane elementy uległy

zniszczeniu. Tylko raz zajrzała przez uchylone drzwi wagonu lekarka, aby sprawdzić, czy wszyscy żyją i czy ktoś nie zapadł na chorobę zakaźną. Z nutką współczucia powiedziała, że wiozą nas „tam, gdzie jest nie tylko zima ale i lato”, a więc nie na Sybir. Myślałam, że na swój sposób pocieszała nas. Natomiast tępy konwojent-enkawudzista pilnujący wagonu odpowiadał na zapytania, dokąd nas wiozą, zwięźliwym: „*Wy płochije ludi*” (jesteście złymi ludźmi). Tym samym informował nas, że staliśmy się w jego oczach w rzeczywistości podludźmi. W tym czasie skleciłem sobie dziecięco-nieudolny wiersz, którego dwie zwrotki pamiętam do dziś (przepraszam za rymy podlejsze od częstochowskich):

*„Na każdej stacji pilnują nas żołdacy.
Chodzą z karabinami. Mówią, że źli jesteśmy – my, Polacy!
Że trzeba nas pilnować całymi siłami.”*

I dalej:

*„Gdyśmy stanęli na stacji malej
Jakiegoś brudnego miasteczka,
To się nam śniły noc całą
Te zwalone domy i ta brudna rzeczka.”*

Są to autentyczne fragmenty dłuższego „poematu”, a jego większość szczęśliwie zatarła się w mojej pamięci, na czym polska literatura współczesna nie straciła. Wspomniane miasto to był Orenburg, u stóp pasma gór uralskich nad rzeką Ural. Jak widać, zrobiło ono na mnie, dziecku bynajmniej nie metropolitalnego wschodniogalicyskiego Komarna, niemałe wrażenie. Niebawem, po kilku tygodniach podróży, wypędzono nas z wagonów w stepowym miasteczku kazachstańskim Martuk, skąd ciężarówką zostaliśmy zawiezieni do odległej o kilkadziesiąt kilometrów wioski Jefremowka nad rzeczką „Dżaman Su”, czyli po kazachsku niedobra woda.

Niestety, Babcia Wawrowska podążyła wkrótce śladami Ojca: pozbawiona elementarnej opieki medycznej zmarła w Jefremowce po długich, okrutnych męczarniach. Siedemnastoletniego Janka wyzwoliło z sowieckiego „raju” ochotnicze wstąpienie do Armii Andersa. Mamie natomiast, Romkowi i mnie dane było wrócić do Polski drogą długą i skomplikowaną.

W Jefremowce wegetował kołchoz pod zgołą orlenowską nazwą „Kulturnyj Trud”, czyli *kulturalna praca*. Jak tego wkrótce doświadczyliśmy na własnej skórze, pracowano w nim zgołą opieszale i na dobitkę – w sposób urągający elementarnej kulturze pracy. Zgodnie z natrętnie wmawianą nam fundamentalną zasadą sowieckiej moralności, iż „*kto nie rabotajet - tot i nie kuszajet*” (kto nie pracuje, ten nie je), po dowiezieniu do Jefremowki pozostawiono nas nadal bez żywności. Każda rodzina zmuszona była wynająć na własny koszt jakąś izbę w jednej z kołchoźniczych lepianek. O jakiegokolwiek

opiece lekarskiej mowy nie było. Świat nie interesował się nami. W czasie, gdy z woli najwyższych władz Związku Sowieckiego mordowano naszych ojców w Katyniu, Ostaszkowie i Miednoje, lub zamęczano ich na śmierć w łagrach, nas skazano bez sądu na kołchozową katorgę, wynarodawianie, choroby, przedwczesną śmierć.

Z wyjątkiem kilku kazachskich rodzin, cichaczem traktujących Rosjan jak najeźdźców i wzajemnie pogardzanych demonstracyjnie przez Rosjan, Jefremowkę zamieszkiwali zrusyfikowani Ukraińcy, lekceważąco zwani z rosyjska *Chachły*. Deportowano ich do Kazachstanu w latach trzydziestych XX wieku. Zastraszeni ci chłopci zajęli wobec nas jako „polskich panów” postawę raczej obojętną, a nieraz nawet niechętną. Bywało wszakże, iż znalazłszy się sam na sam z polskim zesłańcem jakiś podstarzały Jelizar Maksimowicz rzucał wokół siebie znaczące spojrzenie i półgłosem zanuciwszy pierwszą zwrotkę znanej sowieckiej pieśni patriotycznej zaczynającej się od słów „*Szyroka strana moja rodnaja*”, w jej czwartym wierszu zamieniał słowo „*wolno*” na „*bolno*”, a słowo „*dyszy*” na *zdyszyt*. Wychodziło więc szyderczo: „*nie znam innego kraju, w którym człowiek zdycha tak boleśnie*” (w oryginalnym tekście było – „*swobodnie*”). Ale swoiste rekordy cywilnej odwagi, a zarazem zaufania do nas, wykazywał Wasilij, sympatyczny kowal kołchozowy, popierdując przeciągle, melodyjnie i często... na cześć – jak to sam deklarował – władzy radzieckiej. I była to jedna z niewielu moich rozrywek kulturalnych w kołchozie *Kulturnyj Trud*. Często natomiast wdychali przy nas, że jest „*dżaman*” (czyli: źle, niedobrze, brzydko) tubylczy Kazachowie, na siłę osiedleni byli koczownicy - ludność pochodzenia mongolskiego lecz mówiąca jednym z tureckich dialektów. Teraz byli to ludzie nierzadko naznaczeni bliznami po syfilitycznych wrzodach, upstrzeni bliznami po czarnej ospie, oblepieni wszami i pluskwami. Pogardliwe traktowanie przez Rosjan Kazachów na ich odwiecznej ziemi wzmagало kazachską rusofobię. Sowiecka polityka wynaradawiania podbitych ludów i traktowania ich jako ludności podrzędnej kategorii zaowocowała pod koniec XX wieku rozpadem Związku Sowieckiego, któremu towarzyszył strach Rosjan przed zemstą narodów.

Tamtejsi kołchoźnicy na ogół nie cierpieli głodu, ponieważ kołchozowe przydziały zboża były jedynie uzupełnieniem wprawdzie niewielkich, ale znaczących plonów indywidualnych działek przyzagrodowych (zwłaszcza mięsa, nabiału i ziemniaków). Natomiast nie wdrożeni do pracy na roli polscy inteligenci, zwłaszcza w warunkach skwarne go lata kontynentalnego i ostrej zimy, wypracowywali znikomą ilość *dniówek obrachunkowych*. Otrzymywaliśmy zaledwie po kilkaset gramów zboża za dniówkę. Toteż, aby uniknąć głodowej śmierci, byliśmy zmuszeni uciekać się do trzech podstawowych metod zdobywania środków na przeżycie: **polowania na susły** - wkrótce wyspecjalizowałem się w tej dziedzinie, podobnie jak w zbieraniu i przetwarzaniu na opał krowiego łajna – *kiziaku*, gromadzeniu stepowych badyli na zimowy opał, ostrzeniu

żaren (nie mówiąc już o mieleniu na nich zboża), łątaniu obuwia, wymianie dna w zdezelowanych wiadrach i garnkach, robieniu pierścionków z monet, pasieniu cieląt owiec, krów i świń oraz powożeniu wolicz zaprzęgów, a ponadto w wypieku chleba we własnoręcznie skonstruowanym piecu wpuszczonym w głąb zbocza stepowego urwiska - **wymianie na żywność przywiezionej z Polski odzieży i drobnego sprzętu oraz kosztowności**, i wreszcie – **kradzieży kolchozowych plonów**. W tej ostatniej dziedzinie prym wiedli sami kolchoźnicy.

Jednak głodu nie zdołaliśmy uniknąć. W szczególnie trudne zimowe dni zjadaliśmy placki upieczone ze zmielonych na pył łusek prosa (co doprowadzało do okropnej obstrukcji), a nawet usiłowaliśmy żywić się pociętymi na paski i długo gotowanymi „*postolami*”, czyli rodzajem chodaków z nie wyprawionej skóry bydłowej, przypominających prymitywne góralskie kierpce.

Z nastaniem wiosny step ogarniało istne szaleństwo barw i dźwięków – kwiatów (krokusy, tulipany) i ptaków (kuliki, czajki, dropie, żurawie) oraz tysięcy susłów zapamiętałe popiskujących. Susel to „*Citellus*”, gatunek roślinożernego ssaka z rodziny wieńcórek, gryzoń o długości 20-30 centymetrów, gnieźdzący się często w koloniach na leśno-stepowych i półpustynnych obszarach. Ulubionym pokarmem tych ruchliwych i sympatycznych zwierzątek były cebulki stepowych kwiatów oraz pędy i ziarna roślin zbożowych. Z kolei susły były dla nas zbawiennym źródłem mięsa po długiej zimowej głodówce (a także światła – ich tłuszcz służył nam w *koptilkach* zamiast nafty).

Jednak zboża należały do kolchozu, a kolchoz był „socjalistyczną własnością”. Przeto susłom, jako oczywistym „*wreditielom*” władza sowiecka wypowiedziała wojnę totalną. Nawet teraz jest mi niezręcznie przyznawać się do tego faktu, ale mimo, że i my sami byliśmy „*wreditielami*” okoliczności zmusiły nas do przyczyniania się w dwójnasób do masowego eksterminowania tych nieszczęsnych wegetarian azjatyckiego stepu. Susły bowiem niszczone na szeroką skalę, wodą zalewając je w norach, zagazowując i trując, a także mordując je w norach przy pomocy stalowych drutów zakończonych ostrymi hakami. Właśnie takim wylewaniem susłów z nor rozpoczęliśmy wraz z Mamą i starszym bratem Jankiem dawać dowody naszej „*trudosposobnosti*”, czyli zdolności do pracy, już nazajutrz po przywleczeniu naszej rodziny nad Dżaman Su.

Naszym zadaniem było znajdowanie kolejnych suślich nor. Następnie, trzymając rozwartą drapieźnie jedną dłoń tuż wokół wejścia do zamieszkaanej nory, należało drugą ręką tak długo wlewać do drzwi suślego mieszkania wodę przyniesioną z Dżaman Su, aż brak powietrza zmuszał zwierzątko do rozpaczliwej próby ucieczki na powierzchnię. Gdy tylko z nory wychyliła się głowa nieszczęsnego susła, należało chwycić go błyskawicznie za szyję, aby następnie nie zwlekając zabić zdobycz energicznym rzutem na ziemię. Na koniec odrywało się ogon zwierzęcia, ponieważ przekazanie kierownictwu

kołchozu piętnastu takich trofeów upoważniało do zaliczenia jednej dniówki obrachunkowej. Czasami do wypędzenia susła z nory wystarczało jedno tylko wiadro wody. Bywały jednak i takie przypadki, kiedy to trzeba było kilkakrotnie zbiegać do rzeki z dwoma wiadrami po kolejne porcje tej antygryzoniowej substancji.

Po dniu takiej pracy zmęczenie zwałało z nóg. Skoro jednak niesławnej pamięci Związek Radziecki stał się już nieszkodliwym nieboszczykiem, mogę bez obaw przyznać się do autentycznego „wreditielstwa”. Zanim bowiem głód zmusił nas do jedzenia susłów, po części litując się nad nimi, głównie wszakże na złość Sowietom, gdy tylko nadarzała się sposobność uczynić to dyskretnie, obcinaliśmy pojmanemu zwierzątku ogon, darując mu następnie życie. Była to mała rzecz, lecz cieszyła.

W północnym Kazachstanie nie ma żartów z zimą. Kilkudziesięciostopniowe mrozy sprawiają, że w warunkach bezwietrznej pogody dźwięk kroków pojedynczego człowieka na śniegu rozlega się donośnie na odległość kilku kilometrów. Z kolei w słoneczne dni zimowe, na niebie widnieją jak gdyby trzy słońca, bo dwa lustrzane odbicia słoneczne wędrują obok zimno-bładego oryginału ze wschodu na zachód. Bywa, że nadciąga potężny śnieżny niż. Przy jeszcze słonecznej i bezwietrznej aurze, z nieokreślonego kierunku na niebie słychać monotony ni to szum, ni to huk. Wówczas ludność rzuca się w popłochu do gromadzenia w lepiankach zapasów wody, opału i paszy. Co przezorniejsi wieśniacy mają studnie wydrążone wewnątrz lepianek, czyli w bezpośrednim sąsiedztwie obory! Strach pomyśleć o bakteriologiczno-chemicznej zawartości takich studni!!! Ale nie trzeba wychodzić po wodę w potężną zamieć! Bo zważmy, że po kilku godzinach nadchodzi coraz bardziej wzmagająca się wichura, a niebo zasnuwają ciężkie chmury. Świat na co najmniej kilka dni znika w kłębiących się tumanach śniegu. W taką pogodę wsie zamierają. Z lepianek wypełzają tylko ci, których do tak ryzykownego kroku samo życie zmusiło. O opuszczeniu wioski mowy nie ma. Wkrótce okno lepianki wraz z płaskim dachem glinianego domostwa pokrywała zbita warstwa śniegu, co groziło przesiadywaniem w ciemności całymi dniami, czyli wegetacją przy „koptilce” – czyli przy ogarku nasycającym atmosferę izby sadzą i fetorem spalonego tłuszczu susłów. W takich sytuacjach najsprawniejszy fizycznie mieszkaniec lepianki otwierał do wewnątrz wejściowe drzwi chaty i znalazłszy się przed litą ścianą śniegu, przebijał się przez tę przeszkodę całym ciałem, celując ukosem do góry i dzierżąc łopatę w dłoni. Następnie delikwent musiał bezbłędnie ustalić prawdopodobne położenie okna, aby odgarnąć głęboka zaspę zasłaniającą szybę. Tę czynność „odgarniania” trzeba było powtarzać co 2-3 godziny.

W „polskich” lepiankach czas płynął przygnębiająco powoli. Były to oczekiwania na coraz bardziej upragniona breję z kaszy pszennej, jęczmiennej lub jaglanej. Ziemiańki były dla nas nieosiągalnym rarytasem, o mięsie zaś w zimie nie mogliśmy nawet

marzyć. Jakkolwiek zabrzmi to wysoce nieapetycznie, nie sposób przemilczeć faktu, że codziennie wiele czasu zabierało nam – a zarazem stanowiło źródło swoistej satysfakcji myśliwskiej – urządzanie zbiorowych polowań na własne wszy. Finałem każdej takiej akcji było ustalenie, kto danego dnia pobił rekord ilości pasożytów wyczesanych z własnej głowy oraz zamordowanych we własnej koszuli i majtkach. Eksperymenty polegające na wystawianiu zawszej bielizny na siarczysty mróz okazały się niewypałem, bowiem niska temperatura nie zabijała wstrętnych pasożytów, nadawała im jedynie (dopóki tkwiły na mrozie) piękną rubinową barwę, która ułatwiała ich tropienie.

W porównaniu z tępieniem wszy, wojna przeciwko pluskwom była beznadziejną. W dzień te krwiożercze bestie tkwiły ukryte głęboko w szparach ścian, glinianej podłogi i sufitu, a także w szczelinach pryczy i pieca. Z nastaniem nocy istne hordy ruchliwych pluskiew atakowały nas żarłocznie, wywołując dręczące do bólu swędzenie ciała. Jedy- nym dostępnym sposobem nie tyle zwalczania pluskiew, ile mszczenia się na nich, było nagłe zapalenie ogarka przez jedną z ich ofiar. Wówczas, pozostałe ofiary rzucały się wokół, rozgniatając palcami pierzchające w popłochu, cuchnące paskudztwo. Oto przy- czyna, dla której ściany mieszkalnych wnętrz lepianek były gęsto upstrzone podłużnymi kreskami o barwie brunatnej.

Zanim wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, wiele zimowego czasu pochłaniało pisanie długich, smutnych listów do naszych bliskich w ojczyźnie i wielokrotne odczy- tywanie zbiorowe nadchodzącej korespondencji. A była to zima wczesna, długa i sroga. Kiedy okazało się, że znikomy zasób polskich książek nie mógł już sprostać mojemu zamiłowaniu do lektury, znając słowiański alfabet z pobieranych w komarnieńskiej szkole lekcji języka ukraińskiego (a ściślej – ruskiego), pewnego ponurego dnia zimo- wego, gdy mroźna burza śnieżna uniemożliwiała wyjście z chaty, sięgnąłem po książkę rosyjską. W takich oto okolicznościach, moją pierwszą lekturą w tym pięknym języku stał się Mikołaja Lermontowa „*Gieroj naszego wriemieni*” (Bohater naszych czasów). Początkowo dukałem słowo po słowie, z trudem wyławiając sens tekstu. Stopniowo jed- nak szło mi coraz lepiej, między innymi dzięki systematycznemu czytaniu szmatławej martuckiej gazетки „*Za bolszewickije kolchozy*” (o bolszewickie kolchozy). Należy tu podkreślić, że miejscowi wieśniacy mówili jakimś ukraińsko-rosyjskim żargonem.

Głośne modły, uprawiane w Jefremowce częstokroć zbiorowo przez kilka polskich i jedną ukraińską rodzinę Terszakowce-Sołłohubowych, były próbą chwilowej ucieczki od przygnębiającej rzeczywistości oraz źródłem nadziei. Gdy w pogodną zimową noc – bywały i takie – wracaliśmy do swojej lepianki z tego rodzaju towarzysko-religijnych spotkań, na których chóralnie odmawiano różaniec i śpiewano popularne pieśni religij- ne, czarne jak sadza niebo było upstrzone wyrazistymi, nie mrugającymi, złocistymi gwiazdami.

Szczególnie trudną była dla nas zima 1941/1942 roku. Wiedzieliśmy już, że nasz Ojciec nie żyje. Odeszła od nas Babcia Wawrowska. Janek wstąpił jako ochotnik do polskich sił zbrojnych organizowanych pod dowództwem generała Andersa na Południu ZSRR. Mama cudem wyzdrowiała z tyfusu plamistego. Ja byłem osłabiony po ciężkiej malarii lata 1942. Wąty sześcioletni Romek musiał brać udział w ratowaniu nas, pomagając mi w lecie gromadzeniem opału na zimę. Żał było patrzeć, jak to dziecko ugięło się pod ciężarem badyli lub bydłowego łąjna, szczególnie dla nas cennego surowca, z którego produkowało się „kiziak” – suche placki stosunkowo kalorycznego paliwa. Zaledwie jeden egzemplarz gazety „Orzeł Biały” wydawanej przez nowopowstałą i krótkiego żywota polską ambasadę w Kujbyszewie nad Wołgą (dawniej i dziś miasto Samara), dotarł do nas w Jefremówce. Wielokrotnie i z nabożeństwem czytaliśmy te autentycznie polskie słowa mimo, że wydrukowano je na kiepskim papierze i bez polskich znaków diakrytycznych.

Po ewakuowaniu polskich oddziałów do Persji, a następnie po jednostronnym zerwaniu przez stalinowską Rosję stosunków dyplomatycznych z naszym rządem w Londynie, pod koniec 1942 roku zaczęły docierać do Jefremowki pojedyncze egzemplarze polskojęzycznej gazety „Nowe Widnokreگی”, firmowanej przez prosowiecką grupę polskich komunistów w Moskwie pod wodzą Wandy Wasilewskiej. Mimo jednak nienagannej formy – bezdrzewny papier, polska czcionka, fotografie – był to gazeta obca nam emocjonalnie i politycznie.

Kilka zdań należy się ode mnie wspomnianej rodzinie ukraińskiej. Były to wywiezione ze wsi Jakimczyce koło Komarna: zmarła w Jefremowce dostojna starsza pani Natalia Terszakowec (wdowa po ukraińskim pośle na Sejm II Rzeczypospolitej), jej córka Olga Sołohubowa – żona Romana Sołohuba, unickiego księdza, albo będącego w łagrze, albo też ukrywającego się wówczas gdzieś we wschodniej Galicji okupowanej przez Sowieców (w tej materii Olga zachowywała wymowne milczenie) oraz ich dwoje dzieci Bohdan i Natalia. Dodam, że Olga Sołohubowa jest dla mnie bohaterką, ponieważ już po II wojnie światowej wywieziona wraz z mężem powtórnie na Sybir, powróciwszy do Lwowa po dziesięciu latach zesłania ufundowała stalowy krzyż, z którym pojechała do Kazachstanu i zidentyfikowawszy mogiłę matki, krzyż ten postawiła w Jefremówce na kawałku stepu udającym cmentarz. Sowiecka Rosja zniszczyła do cna tę nie pozbawioną nacjonalistycznych skłonności rodzinę. Wszystkim Sołohubowym zrujnowano zdrowie: Olga i Roman zmarli po powrocie w Sybiru, ich syn Bogdan jako lekarz w Jałcie umarł na serce, córka Natalia nie przeżyła ciąży pozamacicznej.

* * *

Pewnego mroźnego zimowego dnia 1943 roku resztki rodziny Laskowskich wraz z rodziną Sołłohubów wyjechały saniami z Jefremowki w kierunku Martuka, aby nieopodal tego miasteczka zamieszkać na odludziu, w strażnicy u przeprawy przez rzekę Ilek, dopływ Uralu. To dzięki protekcji okazanej im przez zaprzyjaźnionych współześląńców, Polaków żydowskiego pochodzenia, którzy niedawno zdążyli „urządzić się” w Martuku sprytnie wykorzystawszy akces do Związku Patriotów Polskich, świeżo zorganizowanego z politycznym błogosławieństwem Moskwy, panie Kazimiera Laskowska i Olga Sołłohubowa wyrwały się z kołchozu „*Kulturnyj Trud*” i zostały zatrudnione jako „*stróże-remontowcy*” wspomnianej strażnicy. Były to jednak funkcje wyłącznie tytularne, ponieważ nie było tam czego pilnować, nie było czym remontować budynku, a i wynagrodzenie obydwu pań okazało się iluzoryczne. Miejsce to znajdowało się jakieś dziesięć kilometrów na południe od Martuka, gdzie poprzez Ilek biegł gruntowy trakt, łączący to powiatowe miasteczko z rozrzuconymi z rzadka wśród wyżynnego stepu wioskami. Droga tą wywożono z kołchozów zboże, nabiał mięso oraz rekrutów, w zamian obdarzając wsie przeróżnymi instrukcjami, nakazami, zakazami, inspektorami i pełnomocnikami. Rzeka typowo stepowa, Ilek groźnie wzbierał w okresie wiosennych roztopów, aby u progu lata przeobrażać się w niezęglowna płataninę jeziorzek, rozlewisk i płycizn.

Tym, co najtrwalej i najboleśniej wryło się w moją pamięć tamtego okresu i miejsca, były wręcz niewyobrażalne ilości nieprzyjaznych człowiekowi krwiopijczych owadów. Oczywiście, wewnątrz budynku strażnicy panoszyły się nieprzebrane roje pluskiew, wygłodzonych po kilkumiesięcznym poście z powodu przejściowego braku obsady strażnicy. Dopóki trwały mrozy, uciekaliśmy przed tym paskudztwem na zewnątrz budynku. Jednak z nastaniem cieplej aury na dworze czekały na nas chmary żądnych krwi komarów i jeszcze od nich groźniejszych, - a zarazem liczniejszych! – muszek „gnus”, czyli skrzydlatych czarnych bestii o rozmiarach główki od szpilki. Od tnących na swędząco komarów można było przynajmniej częściowo opędzić się. Gnus natomiast atakował gęstymi chmurkami, a tnąc skórę sprawiał ból w wielu miejscach ciała równocześnie. Tak oto skazany na zsyłkę „wreditiel” pozbawiany był krwi zarówno w przenośni – przez stalinowski system degradacji i represji, jak też dosłownie – przez komary i cholerny gnus.

Mimo tego o czym tu piszę, za niesprawiedliwe i niepożądane z punktu widzenia dzisiejszych interesów Polski uważam podejmowane przez naszą skrajną prawicę próby obciążania dzisiejszych Rosjan odpowiedzialnością za zbrodnie popełnione na polskim narodzie rękoma ich sowieckich dziadków i ojców. Nie zapominajmy także o polskich przewinach: - wszak nasi przodkowie dwukrotnie splądrowali Moskwę, tacy panowie zaś jak Feliks Dzierżyński czy Henryk Jagoda (wyjątkowo krwawi bolszewicy!) wywo-

dzili się z Polski. Jestem głęboko przekonany, że we wzajemnych stosunkach Polacy i Rosjanie powinni wprawdzie pamiętać o krwawej nieraz wspólnej przeszłości, ale przede wszystkim musimy koncentrować swoje myśli i działania na **przyszłości**. Ciężką zbrodnię popełniają po obu stronach ci rzekomi patrioci, którzy po to odwołują się do historii, aby zatruwać nienawiścią psychikę młodych pokoleń. W mojej zawodowej karierze miałem okazje zaprzyjaźnić się z kilkoma Rosjanami, którym nieraz dokuczałem żartobliwie wspomnieniami z niesławnej pamięci kołchozu „*Kulturnyj Trud*”. Rosyjski język uważam za najpiękniejszy język Słowian. I to nie wyłączając naszej rodzimej mowy! Wielowiekowy dorobek kultury rosyjskiej oceniam bardzo wysoko. Zwłaszcza literaturę piękną, muzykę oraz malarstwo. Do dziś z wielką przyjemnością sięgam po oryginały dzieł Lwa Tołstoja, Antoniego Czechowa, czy też Sałtykowa-Szczedrina (jego matka była Polką).

Kolejny etap naszego powrotu ku Ojczyźnie, zorganizowany późnym latem 1944 roku przez związek Patriotów Polskich, wiódł z Martuka przez Połtawę i Zaporozże do wsi Staroje Szpejerowo na południowej Ukrainie. Obydwa te miasta leżały w gruzach. Wprawdzie tym razem jechaliśmy ze znów wmuszonymi nam sowieckimi dowodami osobistymi (a więc formalnie jako obywatele Związku Sowieckiego), ale z własnej woli. I to – na Zachód! Ponownie stłoczeni w towarowych wagonach, siedzieliśmy i spaliśmy pokotem na podłodze wśród nielicznych ubogich tobołków. A jednak przeważał nastrój ulgi, bowiem wieziono nas dokądś, skąd miało być do Polski bliżej.

Zamieszkaliśmy w niegdyś dostatniej murowanej (domy z miejscowego wapienia) dużej wsi, wyludnionej z czarnomorskich Niemców. Sama wieś nie nosiła śladów zniszczeń wojennych. I tylko otaczające ją pola były upstrzone nienaturalnie wysokimi kępkami traw, wybujałymi wokół trupów niemieckich żołnierzy. Inną, ale szczególnie niebezpieczną pozostałością wojny była porzucona amunicja, zwłaszcza niewypały pocisków artyleryjskich oraz niemieckie granaty ręczne. Wkrótce wyeksperymentowałem, że wydobyty z nich materiał wybuchowy nadaje się do rozniecania ognia w kuchennym piecu.

Niestety, w kwestiach żywienia pozostawiono nas całkowicie samymi sobie. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, w opuszczonych zabudowaniach gospodarczych znajdowaliśmy sporo kaczanów dojrzałej kukurydzy. Na codzień żywiliśmy się więc kukurydzianą mamałygą, czyli gęstą kaszą. Aby uzyskać „delikatesowe” pieczywo, należało kukurydzianą mąkę rozrobić z wodą w papkę, która scurzała się po kilku godzinach. Po jej upieczeniu otrzymywało się słodki „małaj”. Zdobywaliśmy też trochę pszenicy i jęczmienia, zgromadzonych w kłosach na ugorze przez jakieś gryzonie (Myśzy? Susły? Chomiki?). Zbawienne te dla nas zwierzątka gromadziły kłosy, precyzyjnie odcięte od źdźbła, a następnie bardzo pedantycznie układały je w regularne stosiki o ob-

jętości sięgającej dwu wiader. Z wiadra takich kłosów otrzymywało się pół wiadra czystego ziarna. Zdarzało się, że było ono czyste, jeżeli zapobiegliwe i pracowite stworki nie zdążyły przykryć swoich zimowych zapasów ziemią.

Zatem jedynie wskutek zbiegu korzystnych okoliczności nie głodowaliśmy w Starym Szpejerowie. Ba, nawet w grudniu 1944 roku, na położonej nieopodal opuszczonej plantacji winogron zbieraliśmy wiadra tych słodkich, soczystych owoców. We wsi uruchomiono namiastkę polskiej szkoły. Wraz z Romkiem byliśmy jej uczniami. Mogę pochwalić się posiadaniem oryginalnego, sporządzonego ręcznie świadectwa ukończenia... czwartej klasy tej szkoły, promującego mnie do klasy piątej. W wieku czternastu lat!

Po latach doszedłem do wniosku, że wprawdzie zorganizowana przez Związek Patriotów Polskich akcja przesiedlenia w 1944 roku na Ukrainę części deportowanych była z ich punktu widzenia ważką i korzystną, nie była ona jednak ani dostatecznie przygotowana ani też sprawnie przeprowadzona. Przecież groził nam głód, gdyby nie przypadkowe resztki zbiorów kukurydzy, obok skorzystania z efektów gospodarności i pracowitości nieznanych nam gryzoni. Uważam, że była to ze strony Związku Patriotów Polskich jednorazowa akcja o celach propagandowych, doraźnych i politycznych, nie zaś fragment szeroko zakrojonego zwrócenia deportowanym Polakom ojczyzny.

Pod koniec 1944 roku kilka bardziej przedsiębiorczych rodzin, a wśród nich i my, doszło do wniosku, że korzystając z powojennego rozgardiaszu należy konsekwentnie podążyć do Polski na własną rękę, nie czekając beczynn timer na ewentualną legalną repatriację.

Rozpoczęliśmy więc trzeci etap naszego powrotu. Kilka rodzin polskich, dwie żydowskie i pani Sołohubowa z dwójką dzieci podjęło decyzję o wspólnym wyjeździe w kierunku Lwowa. W następstwie tej decyzji, na początku grudnia 1945 roku, za kolektywną łapówkę „wynajęliśmy” od sowieckich kolejarzy na stacji Wiesielinowo towarowy wagon mający podążyć dokądś na zachód. Po trzech dniach podróży, oczywiście za następną łapówkę, znalazły się dla nas miejsca w innym pociągu towarowym, którym jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia dotarliśmy do Lwowa. Po kilkudniowym pobycie w jakimś nędznym i brudnym schronisku dla takich jak my tułaczy, rozstaliśmy się ze współtowarzyszami podróży, aby w przeddzień świąt wysiąść samotnie na stacji Komarno-Buczały. Dzięki dobrym ludziom, zamieszkaliśmy i mogliśmy wegetować na wsi Buczały w opuszczonej kurnej chacie.

Po pięciu latach i ośmiu miesiącach poniewierki, obdarci, brudni i zawszeni byliśmy znów w rodzinnych stronach. Te jednak okazały się obce nam, a my w nich zbędni. Nasz dom rodzinny został skonfiskowany i służył jakiemuś sowieckiemu urzędowi. Sad był zrujnowany. Miasteczko Komarno wyludnione wskutek zbiorowego mordu popełnionego przez Niemców na tutejszych Żydach. Z ziemią zrównano tę część śródmieścia,

w której Niemcy urządzili ghetto. Pomiędzy Polakami a Ukraińcami przeważała atmosfera wrogości. Panował nastrój okupacji i strachu. Wkrótce uświadomiliśmy sobie, że podążając do wymarzonej ojczyzny, wróciliśmy donikąd. Mieliśmy zatem wszelkie powody, by czuć się w Komarnie obco.

Jednak zanim w czerwcu 1946 roku wyjechaliśmy, wraz ze wszystkimi mieszkańcami wsi Buczały, repatriacyjnym pociągiem do Polski w pojałtańskich granicach, udało się uniknąć groźnej komplikacji, której następstwem mogło być co najmniej ponowne wywiezienie nas na Sybir. Otóż, na strychu zamieszkałej przez nas chałupiny wykryłem mały arsenał fabrycznie nowej brytyjskiej broni. Były to dwa lekkie moździerze, dwa ciężkie karabiny maszynowe, a wraz z nimi po kilkanaście moździerzowych pocisków i taśm z amunicją do ckm. Tymczasem w sąsiednim domu kwaterował dowódca jednostki NKWD zajęty systematycznymi ekspedycjami do sąsiednich wsi ukraińskich i okolicznych lasów, gdzie krwawo likwidował resztki ukraińskich oddziałów UPA. Mimo woli znaleźliśmy się w sytuacji niezmiernie ryzykownej. Aby dobitniej uzmysłwić jej groźbę dodam, że w ówczesnym Związku Sowieckim obowiązywało okrutne prawo, obejmujące sferą kary śmierci dzieci od lar dwunastu (dekret z 7 kwietnia 1935 roku) oraz karę do pięciu lat zsyłki dla członków „rodziny zdrajcy”, nawet jeżeli nic o rzekomej „zdradzie” nie wiedzieli, lecz mieszkali z nim, albo pozostawali na jego utrzymaniu (dekret z 9 lipca 1935 roku).

Bez zbędnych wahań doszedłem do wniosku, że z naszej „trefnej” chaty albo powinna jak najszybciej zniknąć pochodząca z alianckiego zrzutu poakowska broń, albo wynieść się powinniśmy my. Nawet najbliżej znani nam i zaufani wieśniacy reagowali paniką na nasze prośby o usunięcie tego składu broni, kompromitującego Buczały wobec Sowietów, a dla nas wręcz śmiertelnie niebezpiecznego. W zaistniałej sytuacji, nie mając innego wyjścia, postanowiłem usunąć broń na własną rękę. Dla większego bezpieczeństwa, zdemontowane moździerze, karabiny maszynowe i amunicję wynosiłem małymi porcjami w biały dzień. Raz w torbie, innym razem w worku. Cała ta operacja zajęła mi dwa dni, zaś towarzyszenie mi dziewięcioletniego Romka w trakcie niektórych moich zbrojnych eskapad spełniało rolę podobną do obecności ciotki-przyzwoitki.

W paru torfiankach położonych wśród łąk za odwadniającym rowem, który biegnie wzdłuż Buczał, leżą zapewne do dziś skorodowane resztki broni „made in England”.

... Uszczęśliwieni, z uczuciem ulgi wracaliśmy do Polski, nie interesując się zbytnio i nie wybrzydząc, jaką ona jest: należąca do amerykańskiej, czy do sowieckiej strefy wpływów. Najistotniejszym dla nas był bezsporny fakt, że uchodziliśmy cało ze świata obcego i wrogiego, który wyrządził nam wielką krzywdę. Wyzwalaliśmy się z ziemi, którą Józef Czapski nazwał jakże trafnie NIELUDZKĄ.